

Robert Walser

RODZEŃSTWO
TANNER

Przekład
Małgorzata Łukasiewicz

Posłowie
Łukasz Żebrowski



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnego ranka młody mężczyzna o chłopięcym wyglądzie wszedł do księgarni i poprosił, by przedstawiono go pryncypałowi. Życzeniu jego uczyniono zadość. Księgarz, starszy człowiek bardzo godnej postawy, popatrzył na trochę nieśmiało stojącego przed nim młodzieńca i zachęcił go do mówienia.

– Chcę zostać księgarzem – rzekł młody adept – tęsknię do tego i nie wiem, co mogłoby mnie powstrzymać od wprowadzenia mego zamiaru w czyn. Zawsze wyobrażałem sobie, że księgarstwo to rzecz wspaniała, i nie pojmuję, dlaczego nadal mam usychać z dala od tego, co jest tak miłe i piękne. Widzi pan, tak jak tu przed panem stoję, pewien jestem, że nadaję się wprost znakomicie do sprzedawania książek w pańskim sklepie, tylu, ile pan tylko zechce sprzedać. Jestem urodzonym sprzedawcą: układny, sprawny, grzeczny, prędko, rezolutny, szybki w decyzji, biegły w liczeniu, uważny, uczciwy, a przecież nie tak po głupiemu uczciwy, na jakiego może

wyglądam. Mogę opuścić cenę, jeśli stoi przede mną student biedaczyna, albo wyśrubować, by zrobić przyjemność bogaczom, o których wolno mniemać, iż nieraz sami nie wiedzą, co począć z pieniędzmi. Zdaje się, że mimo młodego wieku znam się trochę na ludziach, poza tym kocham ludzi, chociaż są tacy różni; nigdy więc nie posłużę się swoją znajomością ludzi na ich niekorzyść, ale też nie przyszedłoby mi do głowy szkodzić pańskim cennym interesom przez nadmierne względy dla niektórych biedaków. Jednym słowem: moja miłość do ludzi będzie wdzięcznie balansować na szalkach sprzedaży ze zmysłem kupieckim, który jest równie istotny i wydaje mi się w życiu równie konieczny jak dusza przepełniona miłością – zachowam piękny umiar, tego może pan być z góry pewien.

Księgarz patrzył na młodego człowieka z uwagą i zdumieniem. Zdawał się wahać, czy jego vis-à-vis, przemawiające tak pięknie, robi na nim dobre wrażenie, czy nie. Nie umiał tego rozstrzygnąć, był poniekąd oszołomiony i w zakłopotaniu spytał łagodnie:

– Czy mógłbym, mój młody panie, zasięgnąć w stosownym miejscu jakichś informacji o panu?

– W stosownym miejscu? – odparł zagadnięty. – Nie wiem, co nazywa pan stosownym miejscem! Wydawałoby mi się właściwsze, gdyby nie szukał pan żadnych informacji. Bo i u kogo, i w jakim celu? Niejedno panu o mnie powiedzą, ale czy to wystarczy, aby pana uspokoić co do mojej osoby? Cóż by pan o mnie wiedział, gdyby panu

powiedziano na przykład, że pochodzę z bardzo dobrej rodziny, mój ojciec jest człowiekiem godnym szacunku, moi bracia porządnymi, obiecującymi ludźmi, a ja sam jestem całkiem do rzeczy, trochę szalała, ale rokujący pewne nadzieje, mimo wszystko można mi trochę zaufać i tak dalej? Nie wiedziałby pan o mnie zgoła nic i nie miałby pan absolutnie żadnego powodu, by z mniejszymi już obawami przyjąć mnie na sprzedawcę do swego sklepu. Nie, panie, informacje z reguły niewarte są funta kłaków, a jeśli wolno mi panu, człowiekowi starszemu, udzielać rad, to stanowczo to panu odradzam, bo wiem, że gdybym był zdolny podejść pana i zawieść nadzieje, jakie by pan na podstawie uzyskanych informacji we mnie pokładał, to zrobiłbym to tym skuteczniej, im lepiej brzmiałyby rzeczony informacje, które okazałyby się kłamliwe, bo dobrze o mnie świadczyły. Nie, szanowny panie, jeśli zamierza pan skorzystać z moich usług, to proszę okazać nieco więcej odwagi niż większość szefów, z którymi miałem do czynienia, i zatrudnić mnie na podstawie wrażenia, jakie na panu zrobiłem. Ponadto zaczerpnięte informacje mogłyby świadczyć o mnie tylko źle, prawdę powiedziałwszy.

– Tak? A to dlaczego?

– Jak dotąd – ciągnął młody człowiek – zewsząd, gdzie byłem, szybko odchodziłem, bo nie w smak mi było trwonić młode siły w ciasnocie i zaduchu kancelarii, nawet jeżeli wedle powszechnej opinii były to najwytworniejsze kancelarie, na przykład w bankach. Dotychczas znikąd jeszcze

mnie nie wyrzucono, z własnej woli porzucałem posady i urzędy, które wprawdzie obiecywały kariery i diabli wiedzą co jeszcze, które jednak, gdybym był został, zabiłyby mnie. Gdziekolwiek byłem, z reguły żalowano mego odejścia i ubolewano nad moimi poczynaniami, wrócono mi złą przyszłość, ale miano dość przyzwoitości, by życzyć mi szczęścia na dalszej drodze życia. U pana (tu głos młodego człowieka zabrzmiał naraz żarliwie), panie księgarzu, na pewno wytrzymałbym długie lata. W każdym razie wiele przemawia za tym, by skłonić pana do wzięcia mnie na próbę.

Księgarz odrzekł:

– Podoba mi się pańska szczerłość, przyjmę pana próbnie na tydzień. Jeśli pan się nada i wyrazi chęć pozostania u mnie, omówimy resztę.

Z tymi słowy, które dla ubiegającego się o posadę młodzieńca oznaczały zarazem chwilową odprawę, stary pan nacisnął dzwonek elektryczny, na co jak przyniesiony prądem zjawił się drobny, starszawy mężczyzna w okularach.

– Proszę dać zajęcie temu młodemu człowiekowi.

Okulary przytaknęły. W ten sposób Simon został pomocnikiem księgarskim. Młody człowiek nazywał się mianowicie Simon.

W tym samym mniej więcej czasie jeden z braci Simona, zamieszkały w pewnym mieście stołecznym i tam znany jako doktor Klaus, martwił się postępkami swych młodszych braci. Był to dobry,

spokojny, obowiązkowy człowiek, który rad byłby widzieć, że jego bracia, tak jak i on sam, zdobyli mocną, nakazującą szacunek pozycję życiową. Tak jednak nie było, przynajmniej do tej pory, ba, było nawet odwrotnie, do tego stopnia, że doktor Klaus począł robić sobie w duchu wyrzuty. Powiadał sobie na przykład tak: Już od dawna miałbym wszelkie powody, by naprowadzić braci na dobrą drogę. Do tej pory to zaniedbałem. Jak mogłem zaniedbać ten obowiązek – i tak dalej. Doktor Klaus znał tysiące drobnych i wielkich obowiązków, a niekiedy mogło się wydawać, że chciał ich mieć jeszcze więcej. Należał do ludzi, którzy z potrzeby wypełniania obowiązków rzucają się na cały, bliski runięcia, stos wyłącznie przykrych obowiązków w obawie, że wymknie im się jakiś ukryty, trudno dostrzegalny obowiązek. Przysparzają sobie wiele chwil niepokoju z powodu niespełnionych obowiązków, nie myślą o tym, że każdy obowiązek ściąga na tego, kto się go podejmuje, nowy obowiązek, i uważają, że już spełnili coś w rodzaju obowiązku, gdy mroczna obecność tychże przyprawia ich o lęk i niepokoje. Łatwo mieszają się do wielu spraw, które, gdyby się tylko mniej skrupulatnie nad nimi zastanawiali, zgoła nic by ich nie obchodziły, i chcieliby także innych widzieć ugiętych pod podobnym ciężarem trosk. Patrzą zazwyczaj z zazdrością na ludzi swobodnych i wolnych od obowiązków i wymyślają im od lekkoduchów, bo tak pięknie, z tak lekko uniesioną głową suną przez życie. Doktor Klaus zmuszał się nieraz do pewnej niedużej, skromnej

beztroski, ale zawsze powracał do szarych, posępnych obowiązków i marniał w ich władzy niczym w ciemnym lochu. W czasach, kiedy był jeszcze młody, miewał może niekiedy chętkę rzucić wszystko, ale brakowało mu siły, aby porzucić coś, co wyglądało na dopominający się spełnienia obowiązek, i pójść dalej z lekceważącym uśmiechem. Lekceważenie? Och, nigdy niczego nie zlekceważył! Gdyby tylko spróbował, serce by mu chyba pękło; zawsze myślałby z bólem o zlekceważonej sprawie. Nigdy niczego nie lekceważył i strawił swą młodość na układaniu i dociekaniu tego, co nigdy nie zasługiwało na dociekanie, badanie, miłość czy szacunek. Tak się zestarzał, a że mimo wszystko nie był wcale człowiekiem nieczułym ani pozbawionym fantazji, często wyrzucał sobie gorzko, że zaniedbał obowiązek zdobycia samemu odrobiny szczęścia. Było to kolejne zaniedbanie i dowodziło tylko najdobitniej, że właśnie ludziom obowiązkowym nigdy nie udaje się dopełnić wszystkich obowiązków, a przeto takim właśnie ludziom może się przydarzyć, że przeoczą główne obowiązki, by dopiero poniewczasie, gdy może już być za późno, znowu sobie o nich przypomnieć. Doktor Klaus niejednokrotnie bywał zasmucony, myśląc o błogim szczęściu, jakie go ominęło, o szczęściu związanym się z młodą, miłą dziewczyną – musiałaby to być oczywiście dziewczyna z nieskazitelnej rodziny. Rozmyślając tak smętnie o samym sobie, pisał do swego brata Simona, którego szczerze kochał

i którego poczynania w świecie budziły w nim niepokój, list mniej więcej tej treści:

Kochany bracie. Wydaje się, że nie masz wcale ochoty pisać o sobie. Być może nie wiecie Ci się najlepiej i dlatego nie piszesz. Znowu, jak tyle już razy, nie masz stałego, pewnego zajęcia, siłą rzeczy dowiedziałem się o tym ku swemu ubolewaniu, i to od obcych ludzi. Od Ciebie, jak się zdaje, nie mogę już oczekiwać żadnej szczerzej relacji. Wierzaj, to mnie boli. Tyle jest teraz spraw, które mnie niemile dotyczą, czy i Ty, po którym zawsze sobie wiele obiecywałem, musisz przyczynić się do zamącenia mego nastroju, z wielu przyczyn bynajmniej nie różowego? Mam jeszcze nadzieję, ale jeśli choć trochę kochasz nadal swego brata, nie pozwól, bym zbyt długo daremnie pokładał w Tobie nadzieje. Zrób wreszcie coś, co uprawniałoby do wiary w Ciebie, pod tym czy innym względem. Jesteś zdolny i masz, jak chętnie sobie wyobrażam, jasny umysł, jesteś też skądinąd mądry i we wszystkim, co mówiłeś, dawało się rozpoznać ów zdrowy rdzeń twej duszy, o którym zawsze wiedziałem. Dlaczego tedy, jeśliś poznał już mechanizmy tego świata, wciąż tak mało wytrwałości, wciąż tak szybkie przeskakowanie do coraz to czegoś innego? Czy nie trwoży Cię Twoje własne postępowanie? Podejrzewam, że drzemie w Tobie niemało siły, skoro potrafisz znosić tę nieustanną zmianę zawodów, co do niczego nie prowadzi. Ja na Twoim miejscu dawno już zwątpiłbym w siebie. Doprawdy nie rozumiem Cię w tym punkcie, ale właśnie dlatego bynajmniej